

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/propaganda/37606,Od-zbrodni-do-mitologii.html>



ARTYKUŁ

Od zbrodni do mitologii

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa (1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej

Autor: MACIEJ KORCUĆ 22.02.2019

W propagandzie PRL obowiązywała teza, że Sowieci chcieli pomóc Warszawie w dniach powstańczych walk 1944 roku, ale nie zdołali z przyczyn obiektywnych. Szybkie zdobycie Krakowa w styczniu 1945 roku miało zaś być dowodem na sowieckie poświęcenie, podbudowane umiłowaniem naszej kultury i zabytków.

Ani jedno, ani drugie nie miało wiele wspólnego z prawdą.

Polacy, przygnębieni klęską Powstania, nie mieli złudzeń co do postawy Sowietów. „Zakamarki zbrodni – jaką jest pozostawienie Warszawy własnym siłom, bez udzielenia jej należytej pomocy – historia kiedyś wyświetli i napiętnuje” – pisał już 3 października 1944 roku konspiracyjny „Dziennik Polski”.

Miasto widmo

Historia wyświetliła już wiele. Wiemy, że Sowieci nie tylko wstrzymali zaplanowane działania ofensywne, lecz także podjęli czynną akcję przeciw Powstaniu – również o charakterze militarnym i policyjnym. Skutecznie utrudniali anglosaską pomoc dla walczących Polaków. Tak samo jak Niemcy – po swojej stronie frontu likwidowali oddziały Armii Krajowej, próbujące przedostać się do walczącej stolicy.

„Chcąc wykorzystać okazję do zniszczenia najważniejszego polskiego ośrodka niepodległościowego rękami Niemców, Stalin zrezygnował z możliwości stworzenia dla swych wojsk dogodnych warunków w drodze na Berlin”

– pisał rosyjski historyk Mikołaj Iwanow, bez ogródek nazywając działania Stalina „zbrodnią wobec Powstania Warszawskiego”.

Jesienią 1944 roku Niemcy korzystali z bezruchu na linii frontu. Po makabrycznych zbrodniach na ludności cywilnej popełnianych w okresie walk powstańczych zajęli się realizacją rozkazu systemowego wyniszczenia polskiej stolicy. Palono ulicę po ulicy, dom po domu. Niemiecki żołnierz Joe J. Heydecker znalazł się w Warszawie w listopadzie 1944 roku.

„Ale to milczące miasto ruin, Warszawę, ze wszystkimi szczegółami mam jeszcze dzisiaj przed oczami – pisał potem. – Miasto, przez które idę z kolegą [...] jest upiorne. [...] Faktycznie trudno trzymać się myśli, że jesteśmy w prawdziwym milionowym mieście, które całe, naprawdę całe leży w gruzach, że te resztki murów dookoła nie są surrealistyczną filmową scenografią. [...] Groby są wszędzie. Po bokach ulic, gdzie kiedyś były chodniki, wznoszą się pagórki, pagórek przy pagórku. Są ich setki, setki. [...] Większość grobów jest bezimienna. Tylko ziemia, potłuczona kamienna płyta, gruz”.

Dopiero po kilku miesiącach, 12 stycznia 1945 roku, Sowieci rozpoczęli w Polsce ofensywę militarną. Korzystali z miażdżącej przewagi nad Niemcami, którą mieli już latem 1944 roku. 17 stycznia zajęli również to, co pozostało po Warszawie.

Komunistyczna propaganda nie znała granic cynizmu. Liczyła się skuteczność. Wejście do wypalonego, wyludnionego miasta i tak ogłoszono „wyzwoleniem stolicy Polski”. Dzień ten z miejsca celebrowano jak wielkie święto. Potem, przez ponad czterdzieści lat, 17 stycznia organizowano rocznicowe obchody, szkolne akademie i okolicznościowe spotkania. Składano wieńce pod obłudnymi, wystawionymi również w Warszawie, „pomnikami wdzięczności” Armii Czerwonej.

Defilada wśród ruin

Propagandową ikoną styczniowych dni w Warszawie miała być urządzona przez Sowieców defilada wojskowa. Fotografia defilujących „berlingowców” była niemal obowiązkowym elementem rocznicowych publikacji w PRL. Żołnierze maszerowali przed trybuną, na której stanęli ludzie wyznaczeni przez Stalina do firmowania jego polityki w zajmowanym kraju: Bolesław Bierut, Michał Żymierski, Edward Osóbka-Morawski i inni dygnitarze komunistycznego Rządu Tymczasowego. Zastępca ludowego komisarza NKWD, Iwan Sierow, w raporcie przesłanym do swojego zwierzchnika Ławrientija Berii 19 stycznia 1945 roku, przedstawiał niemal cukierkową atmosferę poparcia dla władz i wdzięczności Sowiecom:

„[...] Ludność wyszła na ulice z flagami i zebrała się wokół budynku Rady Narodowej. Został zorganizowany wiec, na którym wystąpił BIERUT, MORAWSKI i generał [Siergiej] SZATIŁOW [naczelnik misji wojskowej Związku Sowieckiego w Polsce]. Ludność bardzo szczerze witała i pozdrowiała BIERUTA i MORAWSKIEGO, na wspomnienie przez tow. SZATIŁOWA o Armii Czerwonej przerwała wystąpienie okrzykami wiwatów na cześć towarzysza Stalina”.

W zupełnie innej tonacji opisywał ten sam dzień oficer AK i warszawski powstaniec, Jan Krok-Paszkowski, który wraz z kolegą 19 stycznia 1945 roku przybył do miasta z podwarszawskiego Wołomina. Pierwsi uzbrojeni żołnierze sowieccy, których spotkali, otoczyli ich półkolem.

„Kazali stanąć przy murze, rozpięli kożuchy i dokładnie obmacali. «Orużja u nich niet» [ros. broni nie mają] [...]. Zjawił się jakiś młody człowiek w polowej rogatywce na głowie z naszywkami kaprała. [...]«No to na defiladę wam pójść [...]. Dziś nasza pierwsza armia wkracza do stolicy»”.

- wspominał Krok-Paszkowski. Na oczyszczonym z gruzów placu ustawiono trybunę opasaną białoczerwonym materiałem.

„Z samochodów opancerzonych wyskoczyło kilkunastu żołnierzy. Lufy ich pistoletów maszynowych skierowały się w kierunku tłumu. Otoczyli samochód osobowy, z którego wyszło kilka osób w ciemnych, cywilnych płaszczach i futrzanych czapkach na głowie. Cywile weszli na trybunę, orkiestra zaczęła grać „Warszawiankę”, od strony Wisły ruszyła defilada”.

Trudno było się pozbyć gorzkich refleksji.

„Patrzyłem na to widowisko z uczuciem zdumienia, wściekłości i żalu. Oto wkracza do Warszawy zwycięska armia – o pół roku za późno – pisał Krok-Paszkowski. – Defiluje przed ludźmi, których nikt nie zna i którzy stoją z ponurymi twarzami na tle gruzów i w otoczeniu sowieckiej eskorty. Żołnierze w polskich mundurach i sowieckich hełmach i polowych rogatywkach z orzełkami o dziwnym kształcie nieśli przewieszane przez piersi sowieckie pepesze i sowieckie erkaemy, tupiąc po chłopsku nogami, machając na sowiecką modłę rękami w bok do brzucha. [...] Chciałem wracać do domu, zacząłem powoli wycofywać się z tłumu, który stał zbity w gromadę w milczeniu, ale poczułem na ramieniu ciężką łapę. Stał obok mnie uśmiechnięty enkawudzista”.

Propagandę łączono z terrorem. Już 24 stycznia 1945 roku Beria raportował Stalinowi o skierowaniu do Warszawy pułku i batalionów NKWD „w celu zaprowadzenia należytego porządku”. Dodawał też:

„Działają grupy operacyjne złożone z pracowników [komunistycznego] Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Polski oraz czekistów [tj. funkcjonariuszy NKWD – M.K.], celem wykrycia i aresztowania kierownictwa Komendy Głównej AK, NSZ i innych podziemnych partii politycznych”.

Niektórzy do dzisiaj nazywają to wyzwoleniem.

Bomby na Kraków

Kiedy do ruin Warszawy sprowadzano kolejne jednostki podległe Sowietom, na odcinku 1. Frontu Ukraińskiego trwały walki o niezniszczony wcześniej Kraków. Główne uderzenie tego frontu wyszło z przyczółka sandomierskiego. Zasadniczym kierunkiem był Wrocław. Na Kraków miała uderzać od wschodu 60. Armia, stanowiąca prawe skrzydło frontu.

Sowieci nie tylko wstrzymali zaplanowane działania ofensywne, lecz także podjęli czynną akcję przeciw Powstaniu – również o charakterze militarnym i policyjnym. Skutecznie utrudniali anglosaską pomoc dla walczących Polaków. Tak samo jak Niemcy – po swojej stronie frontu likwidowali oddziały AK próbujące przedostać się do walczącej stolicy.

W okolicach miejsc istotnych pod względem wojskowym i ważnych obiektów Niemcy wybudowali 240 żelazobetonowych zapór przeciwczołgowych i 50 betonowych schronów. Budowali też prowizoryczne betonowe bunkry z otworami dla broni przeciwpancernej. Bynajmniej nie mieli planów wysadzania miasta. W pasie sandomierskim obrona niemiecka została przełamana 15 stycznia. Nacierające wzdłuż północnego brzegu Wisły siły w ciągu kilku dni znalazły się na północ od Krakowa. 16 stycznia zostały zajęte – leżące pod Krakowem – Miechów i Słomniki, a 17 stycznia – Skała.

Dzięki sprzyjającej pogodzie 2. Armia Lotnicza 16 stycznia rozpoczęła bombardowanie miasta. Z założenia były to działania o dużym natężeniu. W sumie zrzucono 1,8 tys. ton bomb. Wsparcie atakujących jednostek zapewniała artyleria. 18 stycznia rozpoczęło się natarcie prowadzone od północnej strony miasta. Tego dnia samoloty sowieckie bombardowały m.in. śródmieście Krakowa, dworzec towarowy i drogi prowadzące do mostów na Wiśle. Sowieci stosunkowo szybko zdołali opanować centrum miasta, gdyż Niemcy prowadzili tu ograniczone działania osłonowe. Nie mając sił dla zabezpieczenia jednocześnie i Krakowa, i Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, uznali priorytetowy charakter tego drugiego. Dowodzący po stronie niemieckiej gen. Friedrich Schulz został zwolniony z obowiązku obrony miasta. Rozpoczął wycofywanie podległych mu jednostek w kierunku Śląska, nie pozwalając na zamknięcie głównych sił w kotle. Dlatego, mimo wcześniejszych przygotowań, Niemcy nie podjęli obrony i wycofali się za Wisłę. Po przejściu ostatnich oddziałów saperzy wysadzili mosty, co i tak niewiele im dało. Skuta lodem rzeka nie stanowiła bowiem

przeszkody dla sowieckiej piechoty.

„W południe obszedłem już kawał miasta – notował 19 stycznia w swoim dzienniku krakowianin Edward Kubalski. – W jakimś smutnym stanie Rynek i okolice. Wiele domów zbombardowanych i poniszczonych (ul. Bracka, lej pod domem, Pierackiego etc., etc.). Handle, zwłaszcza niemieckie, porabowane, gruzy i kupy szkła”.

Największe zniszczenia były w południowej części miasta, gdzie Niemcy bronili się dłużej. Wszystko to było jednak nieporównywalne do warszawskiego „morza ruin”.

Wymuszanie wdzięczności

Zdobycie Krakowa zamierzano nagłośnić w propagandzie. Na początku działano standardowo. W pierwszych tygodniach komunistyczne komórki propagandowe, nastawione na jak najskuteczniejszą promocję wszystkiego, co wiąże się z Sowietami i nową władzą, nie wpadły jeszcze na pomysł opowieści o zaminowanym mieście i sowieckim wojsku, które zmienia plany tak, aby śmiałym manewrem odciąć Niemcom możliwość uruchomienia ładunków wybuchowych. Zasługą Armii Czerwonej miały być po prostu likwidacja niemieckiego terroru i „uwolnienie miasta” spod okupacji.

Wejście do wypalonego, wyludnionego miasta i tak ogłoszono „wyzwoleniem stolicy Polski”. Dzień ten z miejsca celebrowano jak wielkie święto. Potem, przez ponad czterdzieści lat, 17 stycznia organizowano rocznicowe obchody, szkolne akademie i okolicznościowe spotkania.

Również na początku marca 1945 roku, kiedy zarządzono budowę „Pomnika Wdzięczności dla żołnierza radzieckiego” w Krakowie, nikt jeszcze nie epatował tezą o uratowaniu miasta przed całkowitym wysadzeniem w powietrze przez Niemców. Wymagano od mieszkańców wdzięczności, choć już wtedy atmosfera nie

sprzyjała budowie takiego pomnika.

Tak być nie musiało. Dopóki bowiem trwała władza Niemców, powszechne wśród mieszkańców obawy przed „bolszewizmem” ustępowały wobec nienawiści do germańskiej „rasy panów”. Do ostatnich dni ostry, wręcz bezmyślny terror Niemców powodował, że oczekiwano nadejścia Rosjan z dużą niecierpliwością.

„Łapanki i rewizje na ulicach nie doznały przerwy, tak że w mieście widziało się tylko dzieci, osoby starsze – i Niemców. Rozstrzeliwania zakładników według list wywieszanych na słupach wykonywano nadal, z upartą systematycznością niemiecką. Bandytyzm przybrał niespotykane dotąd rozmiary [...]. – pisał podziemny wojewoda krakowski, Okręgowy Delegat Rządu, Jan Jakóbiec. – Członkowie niemieckiej siły zbrojnej z powodu niedostatecznego zaopatrzenia dopuszczali się rabunków środków żywności, bydła i odzieży. Do tego dołączyły się grupy dywersantów i bandy kryminalistów, podszywających się niejednokrotnie pod organizacje podziemne, i także rabowały, kradły oraz terroryzowały ludność. Toteż powszechne było życzenie: niech nawet sam Lucyfer z piekła przyjdzie, byle tylko Niemcy poszli”.

I zaraz dodawał:

„Z drugiej strony przeciekały do nas niewesołe wieści z tamtej strony frontu [...]. Jeżeli obiektywnie porównamy stosunki z tej i z tamtej strony frontu, to właściwie nie zauważymy wielkiej różnicy. A jednak koszmar hitlerowski dał się społeczeństwu tak straszliwie we znaki, że często mówiono: niech nawet będzie gorzej, byle było inaczej”.

Było więc tak, jak raportował 24 stycznia 1945 roku były już Komendant Główny AK gen. Leopold Okulicki: społeczeństwo ogarnęła „radość z pozbycia się Niemców połączona z powszechną nieomal nieufnością wobec sow[ietów]”. Wprawdzie od razu na porządku dziennym były kradzieże (Polaków szokowało, że dokonywali ich nie tylko prości żołnierze, lecz także oficerowie) oraz napady i grabieże, ale wciąż jeszcze próbowano traktować Sowietów przyjaźnie.

„Tylko ludzie przewidujący mówili: Będziemy teraz mieli okupację sowiecką zamiast hitlerowskiej i rzucali pytanie: Kto nas wyzwoli od naszych oswobodzicieli?”

- ze smutną ironią notował Jakóbiec.

Zbudować mit

W poufnych raportach problem zauważali także przedstawiciele władzy komunistycznej.

„Nastawienie ludności do żołnierzy sowieckich, z początku bez zastrzeżeń życzliwe, a nawet przyjazne, zaczęło stale się pogarszać – pisał w sprawozdaniu dla zwierzchników mianowany przez komunistów wojewoda krakowski Adam Ostrowski, skądinąd przewodniczący komitetu budowy «Pomnika Wdzięczności dla żołnierza radzieckiego». – Powodem tego są wszędzie nadmierne rekwizycje i świadczenia nakładane na ludność, albo w większej jeszcze mierze wybryki żołnierzy Armii Czerwonej. Sprawozdania starostów powiatowych zawierają całe litanie wykroczeń przeciwko życiu i mieniu obywateli, napady, rabunki, zgwałcenia kobiet, nawet nieletnich dziewczynek, zabójstwa mężczyzn stających w ich obronie, są na porządku dziennym. [...] Rozgoryczenie, lęk i uczucie niepewności ogarnęło ludność do tego stopnia, że musi się uważać tę sprawę za jedną z najtrudniejszych do załatwienia”.

Jednak potrzeby propagandowe nowej władzy wzrastały.

„Każdy mieszkaniec Krakowa musi uczestniczyć w budowie pomnika. Musi złożyć choćby najmniejszy datek na ten cel. Wszyscy mieszkańcy staną się współtwórcami i opiekunami pomnika. W ten sposób spłacimy choćby częściowo dług wdzięczności bohaterskim żołnierzom Armii Radzieckiej”

- pisano w lokalnej gazecie.

Przez kolejne lata komunizmu rosło zapotrzebowanie na legendę. „Ocalenie Krakowa” miało być w PRL swoistym dowodem także na „czyste sumienie” Sowietów w sprawie Warszawy. Z opowieści o specjalnym sowieckim manewrze, zrealizowanym rzekomo po to, aby ratować polskie dziedzictwo kultury, uczyniono dogmat. W tym duchu – wbrew elementarnym faktom – tworzono mit, jakoby Sowietci w trosce o zabytki zakazali używania lotnictwa i artylerii. W taką rolę wpasował się także marsz. Iwan Koniew, dowódca 1. Frontu Ukraińskiego.

„Dla nas bowiem Kraków był nie tylko wojennym obiektem wroga. Szukaliśmy drogi, aby zwrócić Polakom ich drugą stolicę, to piękne zabytkowe miasto, w stanie możliwie nienaruszonym”

- opowiadał w 1965 roku.

Do wyspanych z palca opowieści o zaminowaniu Wawelu i najważniejszych zabytków dodano legendę o rzekomym niemieckim „kablu centralnym”, który miał uruchomić eksplozję. Bohaterem, który uratował miasto, miał być sowiecki dywersant Jewgienij Bierieznik, który - według dawniej obowiązującej wersji - przeciął ów kabel, udaremniając plany wysadzenia miasta. I choć w 2003 roku sam Bierieznik przyznał polskim dziennikarzom, że to propagandowe wymysły, na wschód od naszych granic wciąż ta wersja jest traktowana poważnie.

Mimo upadku Związku Sowieckiego dzisiejsza propaganda Federacji Rosyjskiej szeroką garścią czerpie ze wzorców sowieckiej mitologii - zarówno w kontekście dramatu Warszawy, jak i opowieści o ratowaniu Krakowa. Dość powiedzieć, że w 2007 roku prezydent Władimir Putin odznaczył „za uratowanie Krakowa” innego sowieckiego dywersanta z czasów wojny, byłego oficera NKWD i KGB, Aleksieja Botiana. Otrzymał on za to najwyższe rosyjskie odznaczenie - tytuł „bohatera Rosji”, choć działał na Sąddeckczyźnie i z Krakowem nie miał kompletnie nic wspólnego.

Dla propagandy nie ma rzeczy niemożliwych.

Tekst pochodzi z numeru 1/2015 miesięcznika „Pamięć.pl”

COFNIJ SIĘ